# Tygodnik literacki

**literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.**

**No. 19.** POZNAŃ, DNIA 8. MAJA. **1843.**

## POEZYA.

### POBOJOWISKO.

Czy widzisz na tych błoniach
Szerokie stósy ległych ciał,
I z trupich kości biały wał,
Prawie co każdy krok?
To w zgubnych losów toniach
Odważni polegli męże,
Którzy podnieśli oręże,
By zrzucić jarzma tłok!
Drzyjcie! coście im groby otwarli,
Bo oni zdradą pomarli!
Hańba wam! hańba wam! hańba wam!

Czy słyszysz brzęk kajdanów,
I smutne pośród nich jęki,
Które wyciskają męki
Przez barbarzyńców cios?
To ofiary tyranów,
Łakomstwa, zdrad i ciemnoty,
Którym w nagrodę za cnoty
Dostał się więźniów los!
Drzyjcie! coście im pokuli ręce,
Bo oni silni choć w męce!
Biada wam, biada wam, biada wam!

Czy widzisz w chmurnym obłoku
Tę gwiazdę z jasnym promieniem,
Która wesołém spojrzeniem
Śle ziemi miłą skrę?
To wśród nieszczęść natłoku
Wiecznego syna ojczyzny
Serce, co wśród nieszczęść blizny
Szlachetną nadzieją wre! —
Zadrzyj! komu ta gwiazda nieświeci,
Bo zginiesz pośród zamieci!
Biada ci, biada ci, biada ci! —

Wrocław. P.

## Ostatnia wiosna Pokucianki.

Witor powywaje,
Sosna sia chylaje,
Ne chylaj sia sosno,
Bo—j tak meni toskno!
*Pieśń gminna.*

Zaledwie wstające słońce, zbudzone śpiewem swobodnych ptasząt, przyjrzało się swojéj urodzie w kryształach sędziwego Dniestru i powitało matkę — przyrodę, a pochylone kwiatki podnosiły swoje obwisłe główki ku niemu; już krzątała się służba na dworze hrabiego, znosiła tłomoki do powozu i bryczki, i czyniła wszelkie przygotowania do dalekiéj podróży. Przed dworem zebrały się tłumy wieśniaków, przybranych w świąteczne szaty, ażeby pożegnać swojego kochanego pana i jego córkę, w któréj cała wieś miała lekarkę i dobrodziéjkę, bo nie było chaty we wsi, gdzieby pannunci każde dziecko nie znało, gdzieby pannuncia nie była, i nieodwiedziła to słabego, to słabéj. Zwinne mołojce, hoże dziewki i krasne mołodyce, starce i baby, wszyscy się zebrali, aby pannuncię pożegnać, aby jéj kwiaty wiosenne pod nogi uścielić, bo cała wieś tuszyła, że kochana pannuncia słaba, że wyjeżdża. W całém dworskiém zabudowaniu smutek, szlochanie; służba ciśnie się do pannunci, całuje ręce, ściska za nogi, a ona wszystkich z osobna żegna, tak czule, jakby po raz ostatni, a w jéj oczach łzy błyszczą jak perły. Przed dworem to samo; wszystko szlocha, ciśnie się do pannunci i ściele jéj kwiaty pod nogi; jednym głosem woła: „O daj Boże! abyś nam pannunciu chudko się powernuła zdrowa, a cała wieś pójdzie na Kalwaryą,(*) dziękować Najświętszéj Pannie!“ Rozczulona Amelija wraca się jeszcze raz do swojego po-

(*) Kalwarya, cudowne miejsce w Galicyi.

mieszkania, jeszcze raz pada przed obrazem Najświętszéj Panny i zasyła gorące modły; jeszcze raz oblewa gorącemi łzami portret nieboszczki matki i prosi o błogosławieństwo na drogę. Żelisław podnosi osłabłą, bierze pod ramię i wsadza do powozu. Wszyscy cisną się, ażeby jeszcze raz pannuncię obaczyć, wszyscy płaczem zawodzą i powtarzają: „Bądź zdrowa pannunciu! Bóg cię prowadź szczęśliwie, a powracaj nam chudko zdrowa!"

W powozie zajął pierwsze miejsce ojciec, a obok w środku siedzącéj Amelii Żelisław usiadł, a jéj ręka spoczęła na jego ramieniu, a głowa uczuła osłabienie, bo opadła na piersi kochanka i przyjaciela, jakby tam jéj przeznaczone miejsce było.

Stary hrabia, ojciec Amelii, pogrążył się w myślach. Był to człowiek, który przeszedł różne koleje życia, obeznał się kilkakrotnie z utratą, a jego dusza nabyła pewnego nieugiętego hartu w nieszczęściach. Poglądał co dzień z bólem serca na ostatnią więdniejącą gałązkę swojego szczepu, choć na jego twarzy niemożna było wyczytać żadnéj wewnętrznéj walki uczuć, choć zdawało się, że tam wieczna pogoda znalazła swoje siedlisko. Podziwiał każdą piękność okolicy, która się przesuwała poprzed ich oczy i starał się ciągle budzić uwagę swoich dzieci, których myśli ulatywały nieraz w krainę marzeń; a oni podzielali z radością postrzeżenia ojca. Oni mogli przytém pieścić się swojém szczęściem, swoje uczucia powierzać wzajemnie, bo ich dusze zrozumiały się dawno, każde spojrzenie było dla nich mową duszy i serca.

O! jak to błogo wspomnieć w późniejszym wieku na takie chwile. Jak czarodziejsko, chociaż i późno już w jesieni i zimie życia, przedstawiają się naszéj wyobraźni te uniesienia młodości! Choć przyjdzie nieraz do dna spełnić czarę goryczy zawistnego losu, choć świat cierniami pokryje naszą pielgrzymkę, takie wspomnienia pokrzepiają nas, czynią wytrwałymi w nieszczęściach. Żyć chwilę w niebie wyśnioném, starczy za całą wieczność!

Żelisław był to młodzieniec w kwiecie wieku, odważny w przedsięwzięciach, nieraz dziki w pomysłach młodéj wyobraźni. Od lat piętnastu utraciwszy rodziców, oddany sam sobie, rzucony w odmęt świata, oddał się naukom i podróżował. Jego całe życie było poezyą, choć nieraz skłócił się ze światem, choć tyle razy zawiódł się okropnie na ludziach. W dwudziestym roku życia rozkochał się szalenie w pięknéj Amelii, tak pięknéj, jak tylko może skreślić piękność wyobraźnia poety. Kochał ją całą młodzieńczą duszą, przejął się jéj myślami, bolał nad jéj stanem choroby, każde spojrzenie kochanki, w którém się przebijało cierpienie, wciskało się, przenikało do głębi jego serca, bo on czuł razem z nią jéj boleść, bo on żył jéj duszą, bo on czuwał nad nią, jak troskliwa matka nad kolebką swojego słabego niemowlęcia; serce nieraz ledwo nie pękło z bólu, — o niech serce pęka! on nie chciał najmniejszą skargą, zwątpieniem zbudzić ją z marzeń niebieskich nadziei; jego duszę pokrywał kir grobowy, a on niósł jéj kwiaty wiosenne w darze, on ją pocieszał. Jeżeli jéj myśli zdawała się zasępiać pomroka złego przeczucia, on swojemi słowy rozwiewał tę mgłę; skoro postrzegł smutek w jéj anielskich licach, starał się ją fantastycznemi powieściami rozrywać, a Amelija słuchała rada, gdyż była w najpiękniejszym rozkwicie młodości, a jéj dusza żywiła silną wyobraźnię i anielskie uczucia. Żelisław widział niknące jéj powaby ciała, widział, że z każdym dniem słabieją jéj siły coraz więcéj, że była cieniem chodzącym, lecz nic nie zdołało nadwątlić jeszcze coraz bardziéj wzmagającéj się miłości, bo on odkrył jéj swoje uczucia, a ona odkryła mu nawzajem tajniki swéj duszy, że go kocha wzajemnie; przykuty jakby tajemniczą siłą, poświęcił się całkiem dla niéj, przylgnął do niéj duszą i sercem, w niéj widział całą przyszłość, w niéj ostatnią nadzieję szczęścia, jak rozbitek okrętu, co powierza swe życie samotnéj, nadgniłéj desce, która niezdolna go unieść do przylądku nadziei.

W takiéj miłości jest jakaś niepojęta wzniosłość, urok piękności i prawdziwa poezya życia, prawdziwe zlanie się serc w jedno, — wieczne utęsknienie za czémś niewidzialném, boskiém. Jest to utęsknienie prochów za światełkiem gwiazdki! jest to miłość dusz!

Lekarze radzili Amelii, aby wyjechała w Tatry na świeże powietrze, na żętycę, a Amelija dawno rozmarzona oglądać Kraków, Wisłę, Tatry, Babią-górę, tęskniła za temi pokarmami duszy, które są chlubą dla prawdziwéj Polki, która wraz z mlékiem przejęła od matki Polki miłość ku ziemi rodzinnéj. Jéj uczucia wzniecały w niéj nadzieję, że tylko widok staréj stolicy Chrobatów, tylu pamiątek narodowéj chwały, widok sarmackiéj Wisły, widok Tatrów, téj staréj strażnicy ojczyzny naszéj, zdołają jéj przywrócić dawne zdrowie, — to wszystko spowodowało ojca zrobić wycieczkę w Tatry, a Żelisław jako narzeczony towarzyszył jéj w téj pielgrzymce.

Przy miłéj rozmowie i postrzeżeniach, dzień uchylił się ku spoczynkowi; minęli Tyśmienicę i wieże Stanisławowa zabłyszczały blaskiem zachodzącego

słońca. Kochankowie poglądali tęskno na ostatnie promienie złotego słońca. Żelisław utopił wzrok w Amelii i westchnął głęboko, bo na jéj twarzy wystąpił rumieniec, piękniejszy od róży, chociaż nie naturalny, rumieniec gorączki wewnętrznéj, a on patrząc na zachodzące słońce, zadrżał na wspomnienie, że Amelija, która stała się słońcem jego życia, w krótce może zajdzie w wieczną noc uśpienia. Ona poglądała, jak ostatnie promienie łamiąc się o krzyże i kopuły miedzią pokryte kościołów Stanisławowa, oblewały je światłem złotém; a ktoby był patrzył na nich, na przedmioty, co ich oczy więziły, byłby odgadł ich myśli; on przejął się smutkiem, ona ulgą nadziei; dusza jego błąkała się po ziemi, a jéj witała otwierające się niebo.

„Oto Stanisławów!“ rzekł strary hrabia.

„„„Pozwól droga Amelijo,“““ odezwał się Żelisław, „„„niech cię lepiéj otulę chustką; zaczyna się robić chłodno.“““

Amelija dziękując mu za jego troskliwość, anielskiém przymileniem dodała: „O! mnie daleko lepiéj; czuję, że podróż mi wielką ulgę przynosi, a daj Boże, przybędziemy nad brzegi Wisły, nie będziesz się tak potrzebował troszczyć o twoję Amelliją.“

„„„Daj Boże! ażebyś mi znowu odżyła, jak kwiatek po rosie majowéj.“““

## II.

„Oj sut w mene czarońki,
Biłe łyczko, browońki!“
*Pieśń gminna.*

Stary hrabia i Amelija zażywali jeszcze wczasu, a Żelisław długo już długo błądził po wołszynieckich górach, przypatrywał się wschodzącemu słońcu i dumał, jak przed laty, kiedy razem z swoim przyjacielem Maurycym przypatrywali się temu słońcu; to znowu dumał o Amelii, bo ona mu była teraz wszystkiém, ona zczarowała go swoją anielską pięknością, a jéj wzmagająca choroba jeszcze większą miłość wzniecała w łonie młodego poety. Bo poezya, jako dziecię wieczystéj młodości, w laurowym wieńcu na skroni, w burzliwych mętach życia jego obrała siedlisko; ona, jak wyśniona Rusałka, strumienia życia zaczarowała wody, a namazanego polubieńca tuląc do dziewiczego śnieżnego łona, całunkiem rozniecała swobody wyobraźnie; na ruinach wykwitały mu kwiaty, a on rwał je całą garścią, aby u nóg swojéj lubéj złożyć; ona jak anioł opiekuńczy unosiła go nad ziemią zaślepioną, lodowatą bryłą egoizmu, gdzie poobalano ołtarze wzgardzonéj i znieważonéj ludzkości, wskazując mu niebo: tam śpiesz młody wieszczu, tam cię rozkosz czeka, tam twoja ojczyzna!

O! poezya życia jest li naszą pocieszycielką, bo gdy czarne chmury powloką się nad tą ziemią w zbrodniach zestarzałą, nad tym padołem łez uciemiężonych, a pioruny zagrażają naszym głowom, ona nas unosi na skrzydłach wyobraźni w krainę marzeń, gdzie wieczne, łagodne powietrze, gdzie wstający złoty poranek witają swobodne ptaszki śpiewem niebieskim, gdzie wiecznie kwitną kwiaty, gdzie błonia wieczny zieleni maj, lasy szumią patryarchalnie, a południe uśmiecha się w mruczących potokach kryształowéj głębi. Ludzi tam nie ma, ale za to swobodna niebianka splata złote warkocze, a gdy dzionek chyli się do spoczynku, gdy szata nocy pokrywa błękity i miryady gwiazd wychodzą z swojego ukrycia, aby swobodnie pobujać po przestrzeniach niebios, widzimy skrzypka na księżycu, albo ochocze pląsy elfów przy jego blasku. I znowu jutrzenka zwiastuje nowy dzionek, znowu go witają miliony ptaszków chórem wesołym; a twórczynią tego naszego świata jest poezya, która zamieszkała wgłębi naszéj piersi, twórczyni wiary, piękności, nadziei, wzniosłości; ona rodzi w nas uczucia prawdziwie boskie, nieśmiertelne.

Kochamy, i wiecznie tą miłością łudzimy się. O poezyo! siło uczucia wyobraźni, ty czarodziejko zrodzona z powabu wiosny, z blasku słońca, ty oddźwięku najsłodszych uczuć naszego serca, o czemuż wiecznie nie zamieszkasz w miłości ludzkiéj! tylko jak gwiazdka połyskujesz nad oceanem. Uludzeni chwilowo, wracamy z kwiatami między ludzi, gdzie nas nawet nie przyjmą oziębłe dłonie; wracamy, ażeby tém silniéj uczuć ciężar ziemi i znowu za twojém światełkiem wzdychać, tęsknić. Roskosz wyśnioną zabija smutek światowy, który nam łzy wyciska. Lecz gdy przychodzi chwila przesilenia, a my mamy upaść pod ciężarem niemocy ciała, dusza zwycięża nad ciałem. W więzieniu, pomiędzy czterema wilgotnémi ścianami, ty poezyo stajesz się nam towarzyszką, wzmacniasz nas w nadwątlonéj wierze, łudzisz nadzieją otwierając księgę przyszłości, i wspierając na jéj kartach nasze dzieje. A téj pieśni wiary i nadziei w przyszłość nie zagłuszy brzęk kajdan. Wolni w kajdanach snujemy dni w przyszłość, w wierze nieugiętéj witamy wschodzącą jutrzenkę ludzkości, a choć ostatnia nadzieja tu na ziemi zniknie, ty nam świecisz jak gwiazdka wśród nocy i burzy, i kierujesz łódką opuszczoną żywota. Z rusztowania prowadzeni pod szubienicę, nie bledną nasze lica na widok po-

wroza, bo my widzimy w sobie wysłanników, zwiastunów swobody przyszłéj, obrońców ojczyzny. Wnosimy w niebo oczy, pełne wiary nieugiętéj; nie widzimy kata, nie czujemy trwogi, bo o nasze uszy odbija się tylko płacz i jęki cierpiącéj ludzkości. Tak przechodzimy do naszéj wyśnionéj krainy, do naszéj prawdziwéj ojczyzny, bo krew przelana za wolność ludu zdaje nam się palmą zmartwychwstania obumarłéj ludzkości.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

## Miłość i cyrograf.

(Powieść fantastyczna.)

(*Dokończenie.*)

„„„Że ją zachowam, więcéj niż pewna, lecz zmusić Olesię do powrotu niepodobna; a tak cały wypadek jutro rozgłosi się w mieście, i kronika skandaliczna z dodatkami napełni nim swoje kolumny.... Drugie, co powiem, jeszcze brzmi okropniéj. Przypuśćmy, że Olesia powróci, że wszystko zatrzemy, że wypadek nie rozgłosi się jutro, ale któż może zaręczyć, że za...“““

Tu nachyliłem się do ucha Klaryssy i szepnąłem dwa lub trzy słówka.

„Okropny pomysł!“ zawołała, upadając na poduszki kanapy.

„„„O tak, tak!“““ dodałem; „„„świat dziś przemyślny, umie sobie zaradzić.“““

„Mości panie,“ ozwała się po chwili powstając z godnością i powagą; „wiadome ci jest schronienie Olesi; pójdź więc po nią! zaręcz jéj słowem mojém, że za dwa tygodnie, jeśli tego żąda, zostanie żoną Fortunata.“

„„„Słowo twoje pani! ach czemuż ono nie mnie uszczęśliwia?“““

„Spiesz, spiesz Henryku! i prędko wracaj z Olesią.“

Nie minęło pół godziny, przyprowadziłem zbiega miłości, używszy wprzód całéj mojéj adwokackiéj wymowy, aby ją przekonać o szczérości przyrzeczeń Klaryssy. Ciotka zachowała surową godność, lecz z rozsądkiem; siostrzenica uległa powolności, lecz z mocném postanowieniem. Wszystko z jednéj i z drugiéj strony stanęło na stopie harmonii. Olesia przy pożegnaniu uściskała mię, od czego chętnie byłbym ją uwolnił.

„Ileż to trudności w tak krótkim załatwiłeś czasie,“ mówiła ciotka, odprowadzając mnie do drzwi, „rzadki z ciebie człowiek do pogodzenia familijnych sporów; mam nadzieję, że cię zobaczym na weselu?

„„„Zgoda pani! i zaczniemy od kłótni, jak przy dzisiejszéj rozmowie.“““

„Lepiéj zaczniemy od tego, na czémeśmy dziś skończyli...“

To było bardzo grzecznie z jéj strony, lecz są pewne grzeczności, które na mnie nie robią wrażenia, jeżeli im nie towarzyszy urok kobiecy.

„Trzeba przyznać,“ rzekłem, dochodząc do mego mieszkania, „że w kilku godzinach dokonałem tyle dzieł mądrych, tyle czynów bohatérskich, że nie mam czego zawiścić pracom Herkulesa. Najprzód nauczyłem się téj kabalistycznéj ramoty, powtóre wydałem za trzpiota młodą dziewczynę, w któréj szalenie byłem rozkochany; potrzecie, stroiłem firleje do wdówki czterdziestoletniéj, a może i dojrzalszéj; poczwarte nakoniec wywołałem djabła, który to punkt najlepiéj wyjaśni, jakim sposobem byłem twórcą tych cudów.

Ostatni ten pomysł tak mi zajechał w głowę, podczas kiedym obracał klucz we drzwiach mego pokoju, takie ogarnęły mię skrupuły i bojaźnie, że na własnych nie mógłem trzymać się nogach. Zaledwie bowiem przestąpiłem próg, kiedy zmuszony byłem usiąść na stósie szpargałów; z założonemi na krzyż nogami i rękoma, z głową pod ciężarem zgryźliwych myśli opartą na piersi, wzdychałem raz po raz ciężko, jak dusza na pokucie. Powieki moje znużone bezsennością i troską, zwolna się podniosły. Z dwóch świec jedna już była zgasła, druga dopalała się, buchając jaskrawym płomieniem, który wszystkim przedmiotom nadawał ruchy i barwy fantastyczne. Wtém nagle uczułem, że włos mi dębem stanął, że krew jak galareta ścięła się w żyłach! Co widzę! krzesło moje jak krzesło Banka przy uczcie Makbeta, zajęte przez kogoś! Wpatruję się i nie mogę wątpić.— Z razu chciałem się obces rzucić na widmo, lecz strach spętał mi członki. Wzrokiem tylko obłąkanym mierzyłem tę marę, ten kościotrup, który zajął miejsce Olesi, jakby na ukaranie czarujących wrażeń, sprawionych widokiem pierwszego zjawiska. Było to widmo niewieście, wnosząc z ogromnych szlarek czépka, z pod których coś niewyraźnego, coś nakształt rysów człowieczych wyglądało. Na obu poręczach krzesła leżało wyciągniętych dwoje rąk, chudych, jak szczypy, zakończonych żółtemi niby jastrzębiemi szpony; zresztą ubiór téj piekielnéj larwy składał się ze staroświe-

ckiego płóciennego letnika, którego białość mocno odbijała od czarności safijanu.

„Wszelki duchu!...“ zawołałem, podnosząc ręce do góry; „o nieba! nieopuszczajcie mnie w téj ostatniéj toni! Ulitujcie się nad biednym szaleńcem, który nie wiedząc o niczém, sprowadził złego ducha w dom swojego ojca!“

„„Cóżeś to nieszczęśliwy uczynił?....““ ozwało się widmo głosem chrapliwym, powstając w całéj swéj wysokości, i znowu upadając na krzesło; „„Panie zmiłuj się nad nami!““

„Ach to ty Rozalio! twójże to głos słyszę? jakiż cud cię tu o téj godzinie sprowadził?“

Rozalia, którą wziąłem za widmo, przed pół wiekiem była piastunką mojéj matki, nie opuszczała ją przez całe życie, a po jéj śmierci rządziła naszym domem z władzą absolutnéj gospodyni, kochałem ją bardzo czule.

„„Ej, nie cud mię tu sprowadził,““ odrzekła Rozalia, „„lecz weszłam po prostu za pomocą drugiego klucza do twego pokoju.““

„Ależ moja Rozalio! osobliwszą obrałaś porę dla oddania wizyty takiemu, jak ja, szaleńcowi, co to...“

„„Czartów wywołuje po nocy,““ pochwyciła, grożąc mi palcem; „„całą noc oczy zamrużyć nie mogłam, taki hałas, takie zaklęcia piekielne, to znowu światła jakieś błądzące, to legiony duchów czarnych i białych, spadające z obłoków, to jakiś szum, świst, sztukania! och nie pamiętam strasznieszéj nocy, nawet ta, kiedy Twardowskiego do piekła ciągniono, nie musiała tyle być okropną! Henryku, cóż to było?““

„Wszystko ci wyłożę jak na talerzu. Tyle masz zdrowego rozsądku i doświadczenia, że, jak posłuchasz, osądzisz, czym winny.“

Opowiedziałem więc jéj powyższą powieść, (od powtórzenia któréj, zapewne uwolnicie mię czytelnicy moi) opowiedziałem cały wypadek z taką sumiennością i z taką szczérą obawą, czym duszy nie zgubił, że samego czarta byłbym wzruszył.

Skończywszy, drząc czekałem najwyższego wyroku Rozalii; z razu długo chowała milczenie, i już sądziłem, że sen ją zmorzył; kiedy w końcu poważnie zdjęła okulary, szkło otarła o rękaw i schowała w futerał. Potém wstawszy, a idąc wprost ku mnie, „idź spać figlarzu!“ rzekła, odwrotną stroną dłoni trącając mnie po licu; „idź spać Henryku i nie bój się niczego! Wierzaj staruszce, tą razą jeszcze nie jesteś potępiony, ale to wina czarta, nie twoja. Pamiętaj, nie budzić licha, kiedy śpi licho.“ —

## Dom obłąkanych w Owińskach. (*)

Pełna jest ziemia smutku, niedoli i nędzy; każdy kamień, gdy go dotkniesz, jęk smętny wyda ze siebie; a niedołężność rozumu ludzkiego na każdém wypisana jest dziele, za każdym objawia się krokiem. Lecz jeżeli chcesz, żeby ta poezya nieszczęścia, ta niedołężność uosobiona w postacie żyjące, obraz po obrazie, w najrozmaitszych barwach przesunęła się przed twém okiem i sto gadków w jednym opowiedziała kwadransie, idź zwiedzić dom obłąkanych, chódź ze mną do Owińsk. Obszerne tu mieszkanie, przeznaczone dla nieszczęśliwych, a często jednak szczęśliwszych od tysiąca tysięcy z pomiędzy nami błąkających, szalonych i nie szalonych, już z daleka trwogą jakąś przejmuje serce i umysł człowieka; nie ominie go przecie myślący przechodzień, ale pójdzie badać zwichnień rozumu ludzkiego we wszystkich jego stopniach i odcieniach, pójdzie dotknąć dłonią nieszczęścia współludzi.

Na samym wstępie w jasny, szeroki korytarz przestrzennego mieszkania, powitają cię ze wszech stron z po za drzwi zamkniętych, długim rzędem się ciągnących, śmiechy, płacze, jęki i narzekania. Świat to cały za parawanem, z wszystkiemi jego urojonemi roskoszami, nędzą prawdziwą i urojoną, wylęgłą w błędnym ludzkim umyśle. Na żądanie twoje dozórca domu obłąkanych otworzy ci drzwi pierwszéj celi; wchodzisz, a w przyćmionym pokoiku, bez piecá, ogrzanym tylko przez mur, znajdujesz dziewczę młode, siedzące sobie sklęczone na stołku, jedynym meblu tego ciasnego mieszkania. W oczach jéj, obok głupowatości, żywość przyćmiona tęsknotą; zawołaj ją, przyjdzie do ciebie. Na zapytanie twoje odpowiadać ci będzie spokojnie, czasem dowcipnie, najczęściéj bez sensu. Opowiadała nam ona o matynce, co umarli; o ojcach, do których koniecznie chciała powrócić; o swojéj Bietce, co gdzieś służy daleko. Zapytałam dozórcy, czy miała dziecię ta dziewczyna, utrzymywał, że nie miała. Chciałabym wiedzieć, czy to prawda? Skarzyła się, że nie ma co robić; uważałam, że ma wiele czucia; tęsknota jéj za ojcami ta-

(*) Był tu niegdyś sławny klasztór Cystersek i posiadał liczne wsie na około. Dobra te darowane zostały dzisiajszemu dziedzicowi za Prus południowych. Dziś w Owińskach jest dom obłąkanych, obszerny i wzorowo urządzony; nad to piękny zamek, zabudowanie gospodarskie, wzorowo urządzone. (Zob. Opisanie województwa poznańskiego przez L. P.)

ka była rzewna, taka tkliwa, że mimowolnie łzę budziła słuchacza. Myślałam długo, co mogłoby być powodem do obłąkania u téj dziewczyny; wnioskuję, że jest ono skutkiem konwulsyi, które, jak mówił dozórca, miewa często, a która to choroba zbyt często podobno przeobraża się w obłąkanie. Biedaczka!... Okrutna to choroba te konwulsye, zwłaszcza u biednego, co padnie często pod ladajakim progiem; u nędznego wieśniaka, gdzie nie ma czasem ratunku za trzy grosze. Byłam sama raz świadkiem, jak wiejska dziewczyna, dość spora, wiążąc w boru drzewo, umarła na wiązce zrobionéj, w konwulsyach, pochodzących podobno od robaków. Już ona od dawna była słabowitą, bladą, znędznioną, ale któż się miał oń poradzić lekarza? W chacie biednéj, często na sól ledwo grosz wystanie, a mało jeszcze u nas panów, mało paniów, coby się poczciwie, choć o tyle, o ile najniższy szczebel uczucia człowieka wymaga, zajęli wieśniakiem, choć nieraz i chęci górnolotnych jest pełno. Prawie im niepodobno odwyknąć jeszcze od myśli, że wieśniak inne od nich stworzenie; i podczas kiedy pan przemyśla, jak zbierać grosze, a jéjmość jak rozrzucić, przestroić, albo przeciwnie — tysiące tysięcy nieszczęśliwych kona przy progach ich z nędzy, z choroby, z zaniedbania moralnego i fizycznego; a nie jeden wieśniak, nie jedna wieśniaczka pozazdrości dziewczynie w domu obłąkanych, o któréj ja z takiém mówię rozrzewnieniem.

W drugiéj celi, obok ległéj, znalazłam kobietę wiejską, około lat 40 mającą, tak nędzną i zbiedzoną, iżby nieszczęście odmalować można z jéj twarzy, z jéj postaci. Kiedym weszła za dozórcą do celi, siedziała na swoim stołku, z głową poowijaną w fartuch i spódnik, który uniosła w górę i rzewnie płakała. Ujrzawszy wchodzących, zdjęła fartuch i spódnicę z głowy i poczęła rzewnie płakać i narzekać na zimno. Zapytałam jéj czemu płacze? „A oto, bo mnie Pan Bóg natchnął i wstąpił we mnie, a oni wzięli mnie precz od dzieci i tu wsadzili. Teraz choruję, a nie mogę nigdy wyzdrowieć! O mój Boże, czy też może tak wysiedzieć człowiek bez dzieci, bez roboty! Bodaj mi dali już w pole iść do roboty! O moje dzieci, moje dzieci!“ Tak płakała i narzekała, iż sądziłbyś, że zupełnie zdrowe ma zmysły. Mówiliśmy jéj, żeby była spokojną przez dni kilka, a zaprowadzimy ją do dzieci, zaczém poczęła dowodzić po swojemu, że nie robi przecie ona nic złego, ale wszystko co robi, robi z woli Pana Boga, który w nią zstąpił i mieszka w niéj. On to rozkazuje czasami jéj krzyczeć, śmiać się, bić, płakać i t. d. Nie może mu się oprzeć, bo Boga słuchać trzeba bardziéj, jak ludzi! Co może być powodem do obłąkania téj kobiety? Może jaka zaniedbana choroba, jakto o nie między tymi biedakami nie trudno; może kołtun (*) lub inna, a resztę, jak widzimy, ukończył fanatyzm religijny. Jakże głęboką wiarę mogło mieć w sobie serce téj prostéj wieśniaczki, kiedy przewrócony jéj rozum, wiarą i tylko jest wiarą. Jest coś ponuro smutnego w téj myśli, przypomina nam ona te serca czyste, wiary pełne, naszych wieśniaków, co owinięta w zabobon, nie lepiéj widna u zdrowych, jak u téj kobiety w obłąkaniu zmysłów. Co za skarby możnaby z serc takich wydobyć, a czémże są one dotąd? Zwichnął je fanatyzm, otoczył grubą korą zabobon, a zdrowo myślącemu często równie smutno patrzeć się

(*) Będąc na wsi, okropny raz skutek téj tak pospolitéj między wieśniakami choroby i rozdzierającą widziałam scenę. Okrutny mróz był, kiedy dnia jednego przychodzi do mnie biedny komornik i wzywa do choréj swéj żony. Poszłam. Wchodzę do chatki, zimno, ciemno, na łóżku nędzném, na garści słomy, okryta podartą odzieżą, leży kobieta i jęczy okrutnie. Świst wiatru wbiegającego przez komin, mieszając się z jéj jękiem, czynił to mieszkanie nędzy smutniejszém od grobu! Zapytałam biedaczki o przyczynę choroby. „Miałam,“ powiada mi, „kołtun przez kilka tygodni, zawczoraj kazałam go sobie obciąć mądréj babie i oto zapadłam w tę chorobę. Weszło mi w głowę i kości, a trudno i skonać przy tym bólu.“ Wzięłam ją za rękę, była okropnie rozpaloną; wpatrzyłam się w nią bliżéj, całe jéj ciało było zsiniałe zupełnie. Poczęłam ją namawiać do lekarza, który może jéj pomódz, bo ludziska te są jak dzieci, jak dzieci boją się lekarza i potrzeba ich do niego namawiać. Opierała się temu, mówiąc, że i tak czuje skon bliski, nic jéj więc po lekarzu, a natomiast prosiła mnie o koszulę, by ją po śmierci miano w czém pochować, bo jednę, powiada, mam tylko, co na sobie, a to gałgan i pobrudzona. Nieszczęśliwa! nawet po śmierci jeszcze ją gonił kłopot o kawałek odzieży na to znędzone i spracowane ciało, które w usługach pańskich zniszczone, wstydziło się nago iść do trumny, a nie miało w co się owinąć. Nie gorzkiż to poemat, nie skargaż to głośna, i tak okrutna, iżby kamień echem jękowi odpowiedział! Ale jaśnie pany i jasne panie po największéj części i dziś jeszcze na taką uwagę odpowiedzą, że to eksaltacya, bo chłop stokroć szczęśliwszy od panów i paniów; on nie zna nieszczęść moralnych, tysiąca poświęceń wielkiego świata. O mój Boże! co to za biedni ci jaśnie panowie, te jasne panie, z nieszczęściami moralnemi, z poświęceniami! Trzebaby ich namówić, żeby się choć na pare tygodni pomijali z nędznym chłopkiem, a wnetby zapomnieli o moralnych nieszczęściach i urojonych poświęceniach, a natomiast nauczyli się, co powinni czynić dla wieśniaka! — — Biedna kobieta w dwie godziny potém umarła, ratunek już był niewczesny. I wiele jest przypadków, że nie dobre obejście się z kołtunem w ciężkie choroby wprowadza wieśniaków.

P. A.

na tych biedaków, jak na obłąkanych. Lecz wracam do przedmiotu. Biedna obłąkana gdy skończyła opowiadanie, upadła nam do nóg, modląc się i szlochając: „O moje wielmożne państwo, zaprowadźcie mnie do moich dzieci, do roboty w polu mnie zaprowadźcie! Tam prędzéj da mi Bóg zdrowie.“ Wstała i znowu upadła na kolana i prosiła i błagała. Rozdzierający to widok! Nie sądziłam ja dotąd, iżby tyle pamięci mógł mieć obłąkany, by tyle mógł cierpieć. Myślałam dotąd, że obłąkanie jest to przepomnienie życia rzeczywistego, i mniemałam całkiem szczęśliwymi być obłąkanych. Lecz nie tak jest. I ci biedacy wiedzą po części o życiu, o nieszczęściu.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## Do historyi dawnéj Polski.

*(Dalszy ciąg.)*

### Strzała z sajdaku,

*którą korona polska, śmiertelna już matka, strażą obtoczona, z ciężkiego więzienia swego do dziatek swych stanu rycerskiego ku przestrodze wypuściła.*

*Przez pana Szczęsnego Herburta.* (*)

(Z rękopisu współczesnego.)

Mężni a waleczni rycerze, a zacni i kochani synowie moi mili, którym ja niekiedy w wolności poradziła! do was dziś mówię pierworodnych w męztwie synów moich; do was, którzy jesteście mocą i piersiami narodu swego; do was, na których się niesfatygowane męztwo zawzdy a słusznie oglądać musiał wszelki, tak męztwem dzielny, jako i prędkością straszny postronny nieprzyjaciel; do was, którzyście na mężnych ramionach swoich aż dotąd złoty pokój mój i inszych dziatek moich zatrzymywali. Słuchajcież mię dziś, proszę, jako już mężowie odemnie wychowani, sercem męzkiém cierpliwie i uważnie słuchajcie tego, na co się dziś przed wami uskarzam, ja nieszczęsna, gorzko płacząca, obelżona, zesromocona, rozkrwawiona, śmiertelnie ubita, a niewolą ściśniona matka wasza. A to naprzód, pod przeklęctwem szczęścia mego odemnie, wiedźcie synowie moi mili, że mi się to bez wszelkiéj odemnie do tego danéj przyczyny dzieje. Zatrzymywałam bowiem z pilném staraniem całość sławy mojéj przez wszystkie czasy swoje, zkądem też cnotami i dzielnościami głośno słynęła między wszystkiemi narody. Byłam od królów, koronowanych sprawców, a prawie ojców moich, nader wielkiemi wolnościami, które były nagrodą cnót, ubogacona, i zewsząd jako murem niedobytym obwarowana tak, żem też sobie wtém żadnéj korony, siostry mojéj, równéj nie miała, czemu się też i zdaleka wszyscy przypatrywali. Zrodziłam w wolnościach was syny poczciwe, wprawiłam w przystojne i uczciwe przed wszystkiemi narody bezpieczeństwo, zaprawiłam w umysł wielki a wspaniały i w serce męzkie nieprzełomione. Gdzie bowiem jest wolność, tam zawdy jest serce i umysł nieprzełomiony. Ale cóż, gdy ten dział jest szczęścia, że żadne bez zazdrości nie bywa. Poczęli się takowi z dawna najdować, którzy i mnie i dziatkom moim takowego szczęścia zajrzeli, kusić się jednak o nię nigdy bez swego nieszczęścia żaden postronny nie mógł. Czasem jednak, gdy najmniejszego owych moich miłych sprawców i ojców prawie zostawili z nich pochodzący wyrodkowie opiekunami memi, zaraz mi tego zacnego mego szczęścia zajrzeć poczęli i z tąd przez dzikie i fortelne praktyki swoje pokuszali się podkopać wolności moje. Lecz iżem na on czas miewała cnotliwe i ostrożne stróże z starszych dziatek moich, tedy to zaraz poczuwali, zastawiając się o to prawie takowym drapieżnym opiekunom i gwałtu na nie mocno wołając, przez co ją też samo z takowych szkodliwych zamysłów zrażali, gdzie bowiem jest zgoda i jedność, tam też jest moc i rzeczy stałość, i królestwo od niebezpieczeństwa dobrze obwarowane. Ale iż przecie przyrodzona chciwość, która zawsze pragnie wolnowładnego panowania, w nich nie panowała, tedy się coraz a coraz tajne zamysły tlejącego ognia, w koronie miane, przez chciwość ponawiały i wynikały. Wolności bowiem moje

(*) Jan Szczęsny Herburt z Dobromila, syn sławnego Jana Herburta, znanego z układu praw polskich, najgorliwiéj popierał rokosz Mikołaja Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III., obstając przy swobodzie i wolnościach, które król ten prawdziwie macoszyńskiemi rządami swemi podkopywał. Przeto też obudził Herburt przeciw sobie mocną nienawiść króla, który pojmanego miał zamiar ściąć kazać, i długo w więzieniu trzymał, aż go ledwie za prośbą kilku znakomitych senatorów uwolnił. Zalecała tegoż Herburta, najbieglejszego można powiedzieć ówczesnego polityka, głęboka nauka; jemu to winniśmy albowiem wyrwanie zagłady kroniki Kadłubka i Długosza, które drukiem upowszechnił. O jego silnéj miłości do ojczyzny świadczy niniejsza odezwa rokoszowa, z współczesnego wyjęta rękopisu, oraz wiersze znane czytelnikom Juszyńskiego Dykcyjonarza poetów polskich. Umarł tenże Herburt w Dobromilu r. 1617.

zdały się im ich być niewolą, z kąd pragnęli i nademną i nad wami wolnymi dziatkami moimi wyuzdanego panowania, aby tak więcéj prawom pisanym panowanie ich nie podlegało, ale żeby sami byli prawem i pany. Lecz jednak póki stawało onych urodzonych i choć wyrodzonych panów, póty wzdy jeszcze całość wiernych stróżów one od takowego przedsięwzięcia hamować łacno mogła. Bo i sam nieco oględując się na sławę ojczystą, nie do końca wypuszczali wodzę tymto chciwościom swoim. Ale skoro nam choć tych wyrodków niestało, i na miejsce ich poczęli z narodów obcych miasto ojców ojczymowie, miasto królów tyranowie, miasto dobrych sprawców drapieżni następować; oni już przychylności nie mając ku narodowi naszemu, jako nie swemu, a chciwości wolnowładnego a wyuzdanego panowania w nich panowały i onych coraz to potężniéj instygowały (nie panowaniem to bowiem, ale niewolą wedle praw przepisanych wolnemu narodowi panować być rozumieli), wnet się na to, choć z cicha, z razu tak rzucili, że sobie poczęli sposabiać rozmaite środki, przez któreby podkopać mogli wolność tę waszą i moją. A naprzód sobie i z dobrych dziatek moich poczęli czynić złe instrumenta: bo mając jeszcze w pokojach swoich królewskich wszystko przedajne, poczęli zatém tymi, którzy więcéj w pieniądze, niż rozum swój bogatymi, w pokojach swoich, jako na targu, godności drogo przedawać. Filary też umyślnie bardzo wątłe z drugich rzekomo ku podporze, a tymczasem ku obelżeniu memu poczęli podstawiać, częścią z młodych, częścią z głodnych, częścią z podłych ludzi. Z młodych, aby nie mając dojrzałego rozsądku, ani experyencyi, mogli być za nos zawiedzeni tam, gdzie oni raczą; z głodnych, aby im gębę napełniwszy, uczynili je też chcącymi i czyniącymi, co sami chcą i czynią; z podłych, aby je wywyższywszy, przez nie dopięli tego, coby chcieli. Oni bowiem będąc wyrodkami i żadnego smaku nigdy w wolnościach nie mającymi, nie bywają upadkiem rzeczy poruszeni. A tymże fortelem pośli w rozdawaniu urzędów ziemskich, ludzi na nie próżnych cnót nasadzawszy. Więc i opatrzenie i godność takimże tylko, coby do takowéjże roboty sposobnymi byli, obietnice czyniąc i iszcząc. Przez co już tę najpierwszą, a bardzo szkodliwą ranę, mi i sławie narodu mego cicho drapieżni cudzoziemcy przychodniowie zadali. O którą jednak takem się czuła na mocy jeszcze, żem się pokrzepić, złączywszy siły moje z waszemi, i jeszcze ostać była mogła. Ale postrzegłszy tego, ten to nieżyczliwy nieprzyjaciel mój, poszedł na mię i na was szczere dziatki moje nową, a tém szkodliwszą i upadku bliższą sztuką. Wnet bowiem pod płaszczykiem nabożeństwa, które każdy wierny chrześcianin słusznie na wielkiéj ma pieczy, uchwycił i ochełznał serca tak ludzi pospolitych, jako i wszystkich, to przez osoby nowoduchowne, subtelne i ciekawe, i przez ich chytre i gorące perswazye wprzód umówiwszy, że jedynowładzcy króla potrzeba tak dla zatrzymania nabożeństwa, jako i dla pomnożenia jego. A iż to samo nie tylko nad wolność i pokój pospolity, ale nad własne zdrowie i snadź i nad sumienie własne ma być przekładano, czego też w ludziach częścią nieostrożnie, częścią ślepo nabożnych, ten chytry fundament założywszy, ten ogień wszczęty w nich coraz to nowemi a sztucznemi jadami, to gorącemi i pozornemi z katedr sentencyami, pobudkami poddymali, w nieopatrznych tłumach, w nieżyczliwych, a w skażonych stróżach coraz wielkiemi otuchami wzrost tych rad swoich pomnażając i widząc w tém dosyć pomyślne sukcessy, tém goręcéj to czynią.

*(Koniec nastąpi.)*

## Doniesienie literackie.

Pieśni ludu łużysko-sérbskiego, zebranych przez Smolerja, wyszedł tomu drugiego, obejmującego dolno-łużyskie pieśnie, zeszyt piérwszy, zawierający 89 pieśni tak zwanych *„Pśezpóla.“*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.